

PISEMKO KUZNICZANEK

MIESIĘCZNIK

Nr. III.

Prenumerata roczna 5 zł. Marzec 1930.

Rok X.

Rozmyślanie.

Przykaż synom Izraelowym, aby przynieśli do Ciebie oliwy co najczystszej, bo gorzeć ma światło ustawicznie.

Exodus r. 27 w. 20.

Światło lampy jest symbolem życia, jeśli lampa świeci całym swoim blaskiem, daje nam obraz pełni życia, jeśli gasnąć zaczyna, to przypomina jego koniec. Jedno i drugie bardzo jest pouczającym.

Światło lampy musi być zasilane oliwą i to nie bylejaką oliwą, ale czystą i co najczystszą. Czem jest oliwa dla lampy, tem jest duch dla działalności człowieka. Nie może on spełniać swego zadania, jeśli nie zasila swojej działalności duchem wewnętrznym.

Co nas ożywia, czy duch Chrystusowy, czy nasz duch osobisty, duch samolubstwa, chciwości, miękkości, dogadzania sobie.

Co stanowi tło naszego życia? czy szukanie Boga, czy też szukanie samych siebie?

Jeśli oliwa jest zupełnie czysta, bez żadnych obcych przymieszek, lampa daje dobre światło, ale jeśli oliwa nie jest czysta, jeśli zawiera obce przymieszki, lampa kopci i wydaje swąd nieznośny. Podobnie życie ludzkie, jaśnieje ono jak lampa dobrze świecąca, jeśli głównym jego celem jest chwała Boża. Są dni, w których czujemy się szczęśliwie, pewne naszej drogi, to znak, że oliwa lampy jest czysta, że ożywia nas duch światła i radości.

Jeżeli żyjemy w pokoju sami ze sobą i z naszym otoczeniem, jeśli czujemy się być w porządku, to znak, że mamy w sobie Ducha Bożego. Ale jeśli jesteśmy niezadowolone ze wszystkich i ze wszystkiego, jeśli jesteśmy smutne, zniechęcone, to znak, że jesteśmy zbyt sobą zajęte, że wszystko odnosimy do siebie samych, że chcemy żeby wszystko szło według naszej woli, naszych upodobań,



№ 2280 / 1930 / 3

Zastanówmy się dobrze nad tem, jaki duch nas ożywia? czy duch Chrystusowy, czy też duch miłości własnej.

Jeśli jestem smutna, to znak, że jestem samolubna, jeśli jestem wesoła, Chrystus we mnie panuje. Niema smutku, gdzie niema samolubstwa. Im więcej człowiek zapomina o sobie, tem większym cieszy się pokojem. Kto wszystko dał, ten wszystko ma.

Gdy smutek ogarnia, wziąć krzyż do ręki i powiedzieć sobie: On wszystkiego się wyrzekł, ze wszystkiego się wyniszczył, ja mu też wszystko oddam, serce, duszę, zdrowie, życie, wszystko, czego mogę pragnąć. Wtedy mogę być spokojna.

Czuję się czasem znudzona, podniecona, zniecierpliwiona, jakiż powód do tego? bo moja lampa kopci i śwędzi, bo duch, który mnie ożywia nie jest tem, czem być powinien. Trzeba mi się przejąć w modlitwie i rozmyślaniu duchem Chrystusowym.

Uczynki wynikają z ducha, ale one też ducha podtrzymują. Jeśli się będę starała naśladować uczynki Chrystusowe, to duch Chrystusowy będzie coraz więcej we mnie panował.

Tu trzeba sobie przypomnieć słowa Chrystusa P.: Kto wierny w małych rzeczach, temu większe powierzone będą, bo w tych drobnych, najdrobniejszych nawet okolicznościach życia, trzeba zapominać o sobie, ażeby się przejąć duchem Chrystusa P. Życie Chrystusa P. było od Betlejem do Kalwarji jednym wyrzeczeniem się siebie. Drobnymi wyrzeczeniami weźmy udział w Jego życiu, a duch Jego zajmie stopniowo miejsce tego, co w nas zbyt osobiste.

(Z rozmyślań P. Jenerałowej).

Z Życia P. Jenerałowej (mężatka) 50.

Dość, że pracy i zachodu miał mój mąż coniemiarą. Skądinąd pobyt w Terapii był bardzo przyjemny. Posłem francuskim był p. Thouvenel, żona jego niezmiernie miła osoba, miała dwóch synów w wieku naszych; starszy Ludwik, niestychaną zawarł z Władysiem przyjaźń, a Wiadyś nie wiem skąd nazywał go zawsze; „mon Thouvenel“. Ten zaś wiecznie się o rodziców upominał o Władysia do zabawy. Coraz PP. Thouvenel przychodzili o Władysia prosić mówiąc: „Allon viens

jouer avec ton Touvenel". Bywaliśmy tam często na obiedzie, albo po obiedzie wieczóreśmy u nich spędzali. Bywaliśmy też często w ambasadzie angielskiej, gdzie Lord i Lady Stratford i ich trzy córki panny Lanning bardzo byli gościnni. Druga z rzędu Cate, uchodziła za rodzaj piękności i kochał się w niej pierwszy sekretarz ambasady p. Odo Russel. Odmówiła go mówiąc, że nadto przywykła do wystawnego życia ambasady i że on na nią zbyt niemajątny.

Ten Odo Russel z czasem po dalekich krewnych odziedziczył tytuł i majątki Duke of Bedford, jeden z najmajątniejszych panów w Anglii, a panna Cate biedna, została się panną Cate i bez ambasady.

Któregoś dnia, przy obiedzie, L. Stratford wyciągnął mnie na rozmowę o Polsce, czego z cudzoziemcami czynić bardzo nie lubiłam. O ile mój mąż za obowiązek sobie poczytywał, żeby każdemu sprawy nasze tłumaczyć i nawracać ich do przekonani o naszych prawach, o tyle mnie wobec nich i żalu jaki do nich czułam, za ich obojętność, usta się zamykały.

L. Stratford zaczął mówić, że zakończenie wojny bez pożytku dla Polski musi być dla mego męża i dla ludzi jego pokolenia (generałów) wielkiem zmartwieniem. Zapytałam co rozumie przez ludzi jego pokolenia? „Rozumiem odrzekł L. Stratford ludzi jego wieku i wychowania, dla których Polska jest jeszcze żywą w pamięci“. „A ja“ zapytałam „albo mnie przyszłość Polski mniej obchodzi jak męża, a wszakże ja się liczę do innego już pokolenia, chociaż jestem jego żoną“. „Pani“ odrzekł L. Stratford już w innych pojęciach jesteś wychowaną i już musiałaś przyjąć nieodzowną utratę niepodległości narodowej i wychować się w tych myślach.

Oczywiście, że najgwałtowniej zaprotestowałam. Powiedziałam, że jeżeli zamąż poszłam, to właśnie dlatego, że w moim mężu widziałam jakby uosobienie, czy wcielenie wszystkich najdroższych dla mnie myśli. L. S. się chwilę zastanowił, a potem powiedział: to rzecz dziwna, ale być może, że Pani się w tych myślach wychowałaś, choćbyłbym myślał, że to on Ci je wpoić musiał, a nie byłbym przypuszczał, żeś je mogła mieć niezależnie od niego, ale chociażby tak i było, to jednak nie wystawiasz sobie, ażeby Twój synowie we Francji

urodzeni i wychowani mieli w tej wierności dla wspomnień narodowych wytrwać.

„Sprawa narodowa odparłam, Polska, nie jest dla nas żadnem martwem wspomnieniem, jest sprawą istotną, żywotną, terażniejszą, jest naszym najświętszym obowiązkiem, a co do moich synów, uważałabym ich za zdrajców, żeby nie mieli życia swego do ostatniego tchu i wszystkiego co posiadają poświęcić dla ratunku i odrodzenia kraju“.

L. Stratford był jednym z najpiękniejszych mężczyzny jakich mi się widzieć zdarzyło. Włosy miał już białe, rysy niezmiernie wyraziste, a przytem delikatne. Jak mu takie zrobiłam wyznanie wiary, niezmiernie się zaczerwienił, tak jakgdyby mu krew do głowy biła, usta zaciął i więcej ich nie otworzył przez cały obiad, a potem poszedł do siebie i już go więcej nie widziałam. Ja też zamilkłam, bo nie było co mówić, przekonana też byłam, że się porządnie na mnie gniewa.

Wracając do domu i mój mąż pytał, co to za rozmowa tak żywa między nami się toczyła? a jak mu powiedziałam, że się L. S. okropnie musiał gniewać, odparł, że niema szkody i że mu to pójdzie na zdrowie.

Kilka dni potem Lady Stratford spotkawszy mego męża, powiedziała mu, że jej mąż taki był wzruszony rozmową ze mną, że całą noc spać nie mógł i chodził po pokoju, a nad ranem napisał wiersz o Polsce, na temacie; „nie umarła tylko śpi“, opisuje wskreszenie Polski, a pod wierszem, o mały ustęp*) „how sweet the dream“. Dała nam te wiersze i mam je w albumie autografów.

Mój mąż mówiąc o tem potem z L. Stratford, powiedział mu, że wiersz śliczny, gdyby podpis dyplomaty wszystkiego nie psuł.

L. S. który niebardzo chciał się do tych wierszy przyznawać i żonę lajał że je dała, pytał jaki podpis? i mówił, że się wcale nie podpisał i że nic o tych wierszach nie wie.

A mój mąż: „Wiersz o nadziei odrodzenia Polski napisał L. Stratford, a dyplomata ulżył sobie dodając, że to sen“.

Poznałam wtedy L. Lyons admirała floty angielskiej i dawnego przyjaciela mego męża. Krótki, trochę grubawy, rozwiane siwe włosy,

*) Jak słodki to sen,

oczy jak pochoǳnie, żywy, serdeczny, dowcipny, ledwo wszedł do pokoju, za tem pierwszym spotkaniem wskazuje palcem na mego męża i patrząc mi w oczy pyta: „Do you love him?“ *) i natychmiast dodał: „In that case I love you“ **). I tego słowa dotrzymał.

Żaden brat dla siostry, żeden ojciec dla córki, żaden przyjaciel dla przyjaciela nie mógłby być bardziej czułym i kochającym, niż on był dla mnie.

Razu jednego powiedział mi o moim mężu, że nigdy nie znał człowieka, któregoby tak cenil i podziwiał, a potem dodał: „He is a hero and you are a brick“. Tak jakby po polsku powiedzieć: „on jest bohaterem a Ty niezrównana“.

Okręt jego admiralski Royal Albert i cała flota składająca się z nie wiem już wielu okrętów i armat i 10.000 ludzi stała w części na Bosforze, a w części na morzu Marmara. Nie pamiętam jak długo tam stali, kilka miesięcy w każdym razie; a przez cały ten przeciąg czasu dzień w dzień szalupa admiraliska przybijała pod nasze okna z bukciekiem od admirała; albo sam przynosił, albo przysyłał przez swoich midshipman.

Czasami, wyznając, że mnie to trochę ambarasowało, bo myślałam sobie, że to im się musi trochę dziwnem wydawać, ale nie było na to ratunku.

Ale najgorsza była sprawa, że oni albo mi list przynosili, albo jakieś ustne zlecenie, czasem dosyć śmieszne, a w parę godzin potem admirał sam przychodził i pytał co mi powiedzieli; a jak nie było co do słowa tak jak im polecił, to się domyślałam, że musieli to odpowiedować, bo nawet jak żartował to musieli słuchać na skinienie.

Razu jednego Lady Stratford namówiła mnie na przechadzkę pieszo po górach, poszedł z nami i L. Lyons. Wtem spotykamy jakiegoś młodego człowieka wykwintnie ubranego, który się kłania i zaczyna rozmawiać z Lady Stratford; ja się o parę kroków w tył cofnęłam. L. Lyons opuszcza Lady Stratford i przybliżając się do mnie, pyta, czy jestem cierpiącą, odpowiedziałam, że nie, on nalega, że mi

*) „Czy go kochasz?“

***) „Bo jeśli tak, to ja Ciebie Kocham“.

coś jest, ja zaręczam, że mi nic nie jest, a on dowodzi, że mi się tak twarz zmieniła, że on musi wiedzieć co mi jest, że chce wiedzieć, że mu potrzeba wiedzieć co mi jest.

Nareszcie, dość niechętnie powiedziałam: „Ten pan musi być Moskal“. A L. Lyons „byłem pewien że to to“. — A potem, znowu on z dziwnym błagającym wyrazem twarzy, jak gdyby się bał czy nie powiem czegoś, coby mi odjęło urok jaki miałam w jego oczach i z pośpiechem, ażeby do tego nie dopuścić mówi mi: „Do not say you hate him, please do not say you hate anyone, I could not stand it**“.

Powiedziałam mu, że ja do tego pana nie mogę mieć nienawiści, że nie wiem wcale kto on jest, ale że pierwszy raz w życiu widzę Moskala i że patrząc na niego miałam uczucie, jak gdyby był zbroczony polską krwią.

„To jest książę Łabanoff sekretarz ambasady moskiewskiej, która dopiero po wojnie do Stambułu powróciła“. Musiałam przyrzekać, że nigdy nikogo nienawidzić nie będę, bo utrzymywał Lord Lyons, że mu się zepsuje, żebym miała kogo nienawidzić.

Z wędrówki po świecie (d. c.).

Zanim zacznę opowiadać o Ziemi Św. nadmienić muszę, że pątnicy i w kraju faraonów szukali nietylko korzyści umysłowych, lecz pomni na główny cel podróży, niczego nie zaniedbywali, co miało łączność ze wspomnieniami świętymi. Boć przecież i Egipt był widownią wielkich rzeczy, był on jak gdyby kolebką starego Zakonu, a dając schronienie Dz. Jezus wszedł tem samym w tekst Nowego Test. Słusznem tedy było, żebyśmy i my, zanim przekroczymy próg ziemi uświęconej życiem i śmiercią P. Jezusa poszli szukać Jego śladów i pamiątek do domu niewoli, do ziemi egipskiej.

Czem jest dla nas katolików powszechność Kościoła oceni ten, który się znajdzie na obczyźnie wogóle, a szczególnie w kraju, w którym wszystko, począwszy od fauny, flory i firmamentu, a skończywszy na rasie ludzkiej jest nietylko inne, ale tak przeogromnie obce.

*) Nie mów, że go nienawidzisz, nie mów, że kogokolwiek bądź nienawidzisz, bo nie mógłbym tego znieść.

Na tej obczyźnie znajduje się przecież coś, co przybyszowi jest swojskie, bliskie i kochane, a tem czemś jest Dom Boży, ofiara Mszy św., jest tabernakulum z wieczną lampką, są ołtarze pańskie!

Tam u stóp Pana Zastępów znajdzie obcy wędrowiec zrozumienie i sam wszystko zrozumie. Jakaż wdzięczność napelnia serce jego, dla dobroci i miłosierdzia boskiego, które się człowiekowi zaw sze i wszędzie objawia.

O Miłości nieskończona, któż Cię pojąć, któż Cię ogarnąć może! Wśród tysięcy wielkich i małych, bogatych i ubogich meczetów rozrzuconych hojną dłońią po miastach, osadach i wsiach, natrafi się to tu, to tam, na kościół, kaplicę katalicką, które wznoszą się, jako znak widomy siejby Chrystusowej i ofiarnej pracy misjonarzy.

Tam w kraju mahometan, jaśniej się pojmuje doniosłość pracy apostołskiej i lepiej się rozumie potrzebę wspierania misyj i współpracowania z niemi.

Mówiąc o kościołach nie będę się silila na opisywanie ich piękna architektonicznego, czy też na opis sztuk pięknych zdobiących ich wnętrza. Twory ręki ludzkiej wymagają studjów fachowych, których nie posiadając nie mogę porywać się na opisy przechodzące me zdolności. Pisać będę tylko o tem, co przemówiło do mego serca, co się wryło głęboko w umysł, pozostawiając w nim ślad niezatarty.

Jednem z takich wspomnień jasnych, jest kościół w Kairze, piękny zewnątrz i wewnątrz, olbrzymi, bogaty, o mnóstwie ołtarzy u stóp których modliła się garstka wiernych należących do różnych plemion i ras. Był to pierwszy kościół, który odwiedziliśmy na ziemi afrykańskiej, to też i wrażenie i zaciekawienie były równie silne.

Drugi kościółek oddalony o kilkanaście km. od Kairu był kościołem św. Rodziny w Matarjeh. Staął on w pobliżu drzewa św. Dziewicy, to jest drzewa, do którego legenda przywiązuje wspomnienie odpoczynku św. Rodziny przed wejściem do Heliopolis, najstarszej stolicy Egiptu.

Samo drzewo oliwne, które odradza się od kcerzenia, jest na terenie należącym do mahometanina, broniącego zazdrośnie doń do stępu chrześcijanom. Mimo gorącego pragnienia nie udało się nam

zbliżyć do drzewa św. Dziewicy, zaledwie danem nam było oglądać ogród w którym ono rośnie. Wnętrze kapliczki wynagrodziło nam za to nasz trud i pobożne życzenie. Mówię wnętrze, bo choć maleńka i skromna świątynka na zewnątrz, wewnątrz ściany miała przyozdobione sześciu wielkimi freskami przedstawiającymi sceny z ucieczki do Egiptu.

Czy freski te mają większą lub mniejszą wartość artystyczną, nie wiem, natomiast wiem, że utrwaliły się w mej pamięci jako piękne, pełne poezji i świętości, obrazy, którym za tło służą krajobrazy i akcesoria spotykane tam na każdym kroku, a w Europie uważane za tło wymyślne egzotyczne i rzadko komu znane, a więc obce i mało mówiące.

Oglądając te freski, jakże łatwo było się myślą przenieść do momentów na nich uwiecznionych by przeżyć wspólnie z Rodziną św. ból, smutek, stradanie towarzyszące im w tej uciążliwej wędrówce. Mimo smutnej osnowy ile pogody i dostojności dostrzega się w postaciach na pozór prostych, a jednak tak podniosłych duchem.

Pierwszy obraz przeraża swą grozą uprzytomniając okrucieństwo Heroda, nakazującego śmierć niewiniątek. Widzimy zbolale matki, którym siepacze wyrwywają z rąk niemowlęta.

Drugi fresk przedstawia wnętrze domostwa św. Rodziny i anioła nakazującego Józefowi wziąć Dziecię i Matkę Jego i iść do Egiptu.

Trzecie uprzytomnia wyjście z Miasta św. Rodziny i przejście przez góracą pustynię. Co za smutek bezbrzeżny ogarnia widza, gdy patrzy na tych troje rzuconych w bezkres pustynny, narażonych na tysiączne niewygody i cierpienia.

Czwarty obraz wlewa nieco otuchy do serca widza, pustynia nie zmogła ich. Opatrzność Boska czuwa nad pielgrzymami, oto gromadka niebotycznych palm ocienia od żaru dnia upalnego, a wody Nilu ochładzają strudzone członki, sfinks kamienny udziela chwilowego wytchnienia. Boży Anioł czuwa nad strudzonymi, a gromadka białych gołębi zda się czekać u stóp Św. Dziewicy na Jej rozkazy.

Obraz piąty wyobraża właśnie owo drzewo oliwne, rosnące do dziś w Matarjeh, w którego cieniu spoczywali wędrowcy przed wejściem do miasta Heliopolis.

Szósty wreszcie fresk uzmysławia przejście bramy Heliopolis przez Mesjasza, a wkroczenie Dzieciątka Boskiego druzgocze potęgę ciemności, bo oto zadrżały fundamenty świątyni boga słońca i w gruzy się sypią mury potężne. Kłamstwo musi ustąpić przed Tym, który przyszedł na świat po to, by dać świadectwo prawdzie!

W tej to kapliczce będącej celem licznych chrześcijańskich pielgrzymek odwiedzających Egipt danem nam było, jak zresztą co dnia prawie przystąpić wspólnie podczas Mszy św. do Stołu Pańskiego i wysłuchać polskiego kazania.

Wspomnienia z dwuletniego pobytu w Zurichu (d. c.)

Trzeci ostatni rodzaj praktyki mogłyśmy same wybierać. Zdecydowałam się na restaurację. Zławoło mi się, że tam najciekawsza być musi organizacja pracy gospodarczej.

Już na samo wspomnienie, zanim opisywać zaczęłam, głębokie westchnienie wyrwało mi się mimowoli z piersi, bo też to była praca ciężka, chwilami bardzo przykra, ale bynajmniej nie żałuję że ją odbyłam.

Dano mi w szkole adres gdzie mam się zgłosić; poszłam do biura, tam dano mi wskazówkę gdzie mam pójść na praktykę. Towarzystwo to bowiem miało kilka lokali, wszędzie chodziło o propagandę przeciwalkoholową.

Pierwszego dnia poszłam do piekarni od 7-mej do 11-tej; pomagałam jedynej piekarce na całą restaurację. O 11-tej obiad, potem sprzedawałam przy bufecie. Tu po raz pierwszy zetknąć się musiałam z publicznością.

Od pierwszej chwili zostawiono mnie samą i musiałam sobie radzić jak umiałam. Oczywiście mogłam się pytać o to czego nie wiedziałam, ale każdy zajęty swą pracą nie zawsze miał czas mną się zająć. Nieraz widząc że jestem cudzoziemką zadawano mi pytania skąd jestem, mówiono dowcipy pod moim adresem.

Zależnie od tego, gdzie trzeba było pomóc, lub kogo wyręczyć, zastać, posyłano praktykantkę, tak że w ciągu dnia bywałam przy

najrozmaitszych zajęciach: piekarnia, bufet, kasa, podawanie, obieranie jarzyn, wycieranie porcelany i t. p.

Wszędzie ten sam system: krótka informacja, potem zostawałam sama odpowiedzialna za ten dział. Wychodzą z założenia, że w szkole gospodarczej musiałśmy się tak dobrze wszystkiego nauczyć, że damy sobie radę. Godzin pracy było 10 nie wliczając w to czasu użytego na jedzenie.

Po powrocie do domu, czułam się w pierwsze dni tak strasznie zmęczoną, że jedyną moją myślą było położyć się usnąć i o niczem nie myśleć, bo ten gorączkowy tryb życia w restauracji wypełniał wszystkie komórki mózgowe. Siąść do listu nie odważałam się, bo co mogłam pisać w takim stanie wycieńczenia i chaosu myśli. Widziałam ręce wysuwające się do mnie z żądaniem tego lub owego, widziałam jak niejeden nie chcąc czekać aż skończę służyć drugiemu, wołał, wysuwał rękę, coś mówił, a tu za nim tak wiele jeszcze osób. Czasem miałam już wszystko policzone, a kupujący u mnie zobaczył coś co mu się podobało i raptem zmieniał to co wybrał, żądał czegoś innego, trzeba było jedno odrzucić, wziąć drugie, liczyć nanowo.

Powiedziałam sobie, że nigdy nie będę tak utrudniać pracy sprzedającym, bo wiem jakie to męczące.

Minał tydzień, drugi, powoli zaczęłam się wdrażać do mojej pracy; znalazłam i tam ludzi dobrych, którzy starali się osłodzić mi życie przychodząc z pomocą w pracy, ze wskazówką lub radą.

Dość że skorzystałam ogromnie wiele i może z powodu właśnie tych trudności, nauczyłam się szybkiej orientacji, to była dobra strona tej pracy.

Co było dla mnie najtrudniejsze, to sprzedawanie czekolady, owoców i t. p. na placu sportowym. Choć dzień ten stał przedemną jak zmora, powiem o nim dla oddania całokształtu pracy na kursie i dla dania lepszego zrozumienia charakteru szwajcarów, ich umiejętności organizacji i wykorzystania czasu i sił ludzkich.

Pojedziemy jutro na plac sportowy powiedziała do mnie kierowniczka restauracji w którąś sobotę.

Wiedziałam już od koleżanek co to znaczy. Trzeba było być przygotowanym na to, że będzie się sprzedawać pieczywo, słodycze, owoce, napoje nie tylko przy bufecie, ale wśród publiczności.

Nie chciałam temu wierzyć, ale upewniono mnie, że tak będzie w istocie i dodano przytem, że kiedy niektóre z moich poprzedniczek sprzeciwiły się temu, to potem dano im to odczuć przez złe świadectwo z praktyki.

Co robić pomyślałam sobie? poszłam spać z postanowieniem protestowania, w razie gdyby zażądano ode mnie tego rodzaju pracy.

Wiadomości.

Uczennice nasze miały czas karnawałowy dosyć urozmaicony, chodziły kilkakrotnie na skoki i zawody narciarskie odbywające się w Zakopanem. Uczennice rocznego kursu jeździły korzystając z cudniej pogody sankami do Kościelisk. Ogół uczennic korzystał z pouczających świetlnych obrazów i odczytów o Afganistanie i Alasce, jakie miały miejsce dla młodzieży w Zakopanem, a także dużo z nich było na dniu Rodziny urządzonym przez Ligę Katolicką.

Poza tem mieliśmy w Zakładzie kilka przedstawień. Odegrano z niesłychanym humorem komedję Fredry syna „Kalosze“. Raz dano przedstawienie złożone z samych humorystycznych kawałków p. t. „Wieczór śmiechu“. Zaczęło się od „Oświadczeń szlachcica“ piosnki starej daty połączonej z akcją. Uczennice były doskonale ucharakteryzowane i grały wyśmienicie.

Mieliśmy też obchód odzyskania przez Polskę dostępu do morza. Jedna z nauczycielek wygłosiła krótki ale dobrze ujęty odczyt o znaczeniu morza wogóle, a w szczególności dla Polski. Potem zaśpiewano chórem „Rotę“ Konopnickiej i przedstawiono ładny obrazek sceniczny p. t. „Powrót Polski do morza“. W głębi sceny widać było morze, a kilkanaście uczennic ubranych w lekkie zielone kostjumy wykonało taniec rytmiczny naśladowujący ruch fal morskich.

Treścią obrazku było, że córka biednego rybaka ma narzeczonego, który walczy na froncie w czasie wojny światowej; odchodząc powiedział że albo zginie albo wróci kiedy Polska odzyska niepodle-

głość. Tymczasem bieda zagląda do chaty rybaka, a zamożny kolonista niemiec oświadcza się o córkę. Z początku daje ona odmowną odpowiedź, ale potem gdy niemiec nalega, bieda coraz więcej trapi rodzinę rybaka, zaczyna się wahać i myśleć że należałoby się może poświęcić dla rodziny.

W tej chwili krytycznej narzeczony wraca z wieścią, że Polska wolna, że odzyskała niepodległość.

Przedstawienia w Zakładzie ściągają wszystkich mieszkańców Kuźnic, rodziców z dziećmi i młodzież, przychodzą też nawet z Bystrego. Ma to dobry wpływ, bo odciąga tych ludzi a zwłaszcza młodzież od rozrywek szkodliwych jak karty, kina i t. p.

Książki.

Wyszła w Paryżu za staraniem Ks. Biskupa Baudrillard książka p. t. „Une grande âme et une grande oeuvre“. Jest to historia założenia Zakładu napisana na podstawie listów p. Jener. i wspomnień pierwszych pracowników Zakładu z przedmową ks. biskupa Baudrillarda cena około 14, zł. Editeur Spes. Można pisać po nią po polsku do Librairie Universelle, Paris 6 rue Mabillon 18.

Można polecić „Życie św. Augustyna“ ks. profesora Czuja cena zł. 6, nabyć można: Kraków, księgarnia krakowska, ul. Św. Krzyża 13.

Świat katolicki przygotowuje się do obchodu 1500 rocznicy śmierci św. Augustyna. W Paryżu w Uniwersytecie katolickim odbywają się raz na tydzień w ciągu roku bieżącego wykłady o św. Augustynie, jego życiu i dziełach. Warto zapoznać się bliżej z tym wielkim świętym a zarazem doktorem Kościoła.

Intencja.

Modlitwa w duchu pokuty.

Praktyka.

Drobne umartwienia w tem, co nas najwięcej kosztuje.

Wydawca: Zakład Kórnicki — Szkoła domowej pracy kobiet w Zakopanem

Redaktorka: Aniela Strawińska — Zakopane-Kuźnice.

Tłocznia-Michalineum — Miejsce-Piastowe